

## Rafał Matyja

Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie  
matyjar@uek.krakow.p

### Porządki nowoczesne

#### Warsztat, w którym wynaleziono nowoczesność

Powód, dla którego w refleksji nad nowoczesnością warto cofnąć się do jej początków, jest dość oczywisty. Nowoczesność jest bowiem okresem, który od innych wyróżnia powszechna skłonność do projektowania przyszłości. Społeczeństwa tradycyjne bazowały raczej na powtarzaniu głównych wzorców zachowań, ich wyobraźni nie ożywiała jakakolwiek idea postępu. Takie rozumienie głównej cechy nowoczesności pozwala nam przy tym wyróżnić okres, który w Polsce nazywamy nowożytnym, choć większość języków europejskich określi go raczej wczesną nowoczesnością (*early modern, Frühe Neuzeit*). Lektura licznych monografii historycznych poświęconych polityce, gospodarce czy życiu umysłowemu może prowadzić do następującej generalizacji: w nowożytności projektowanie przyszłości jest raczej rzadkie, ma wiele cech myślenia utopijnego, bywa trudno odróżnialne od myślenia o społeczeństwie doskonałym. W wieku dziewiętnastym praktyki repetycji i innowacji osiągają stan równowagi, z którego zostaną wytracone w stuleciu dwudziestym, z jego kultem zmiany i innowacji.

Wreszcie obecną fazę nowoczesnych porządków cechuje trudna do przewyżczenia niemożność kierowania się repetycją, powtarzania drogi, którą szły poprzednie pokolenia. Zmiany technologiczne dotyczące pracy utrudniają przekazywanie umiejętności zawodowych między kolejnymi

pokoleniami, nawet obsługa prostych urzędzeń staje się czymś, z czym młoda generacja radzi sobie lepiej od starszej, a zatem proces uczenia się od starszych – podstawowy wzór społeczny minionych stuleci – ulega zaburzeniu. Mam wrażenie, że – wbrew kulturze rutyny i perfekcyjnego stosowania wzorców – coraz częściej będziemy dostrzegać, iż sukces w polityce lub gospodarce nie będzie polegał już wyłącznie na powtarzaniu dających sukces czynności i wzorców, ale na zdolności wymyślania nowych sposobów postępowania i na trafnym przewidywaniu przyszłości. Zresztą, przewidywanie stało się podstawą inwestowania i finansów, edukacji, tworzenia budżetów, kreowania systemów podatkowych i ubezpieczeniowych. Nauki społeczne żyją pod presją oczekiwania na modele obniżające ryzyko podejmowanych decyzji.

Wróćmy zatem na chwilę do momentu, w którym możemy doszukiwać się początków nowoczesności. Do epoki wielkich rewolucji politycznych – angielskiej, amerykańskiej i francuskiej, do początków rewolucji przemysłowej. Chciałbym odwołać się do prac Fernanda Braudela i Petera Sloterdjika. Historyka i filozofa. Braudel opisuje początki stanowiącego oś nowoczesności kapitalizmu jako długi proces rozwoju potęgi ludzi zajmujących się handlem zamorskim i instrumentami finansowymi. „Na tym ‘wyższym piętrze’ paru wielkich kupców z osiemnastowiecznego Amsterdamu lub szesnastowiecznej Genui mogło z dala wstrząsać całymi sektorami gospodarki europejskiej, a nawet światowej”<sup>1</sup>. Ich praca polega przede wszystkim na kalkulowaniu ryzyka operacji, na łączeniu pieniędzy, które posiadają bankierzy, z odwagą żeglarzy. Jeżeli pytalibyśmy o lokalizację owego warsztatu, w którym powstała nowoczesność, właśnie Braudela, wskazałby zapewne okolice amsterdamskiej giełdy. To tam projektowano przyszłość po to, by zebrać pieniądze konieczne do realizacji najśmielszych planów.

Sloterdijk wyjaśnia siłę modernizacji podobnie – jako skłonność do ryzyka właściwą narodom morskim. Pisze, że właśnie wokół tych ryzykownych, zamorskich przedsięwzięć „powstaje [...] społeczeństwo ryzyka jako sojusz dobrze ubezpieczonych poszukiwaczy zysku”. Po czym dodaje: „Początki ubezpieczeń należą do zwiastunów systemowej nowoczesności o tyle, o ile modernizację definiujemy jako stopniowe zastępowanie niejasnych symbolicznych struktur odporności, takich jak religijne ostateczne

---

<sup>1</sup> F. Braudel, *Kultura materialna i gospodarka kapitalistyczna*, t. I *Struktury codzienności*, przeł. M. Ochab i P. Graff, Warszawa 1992, s. 20.

interpretacje ryzyka ludzkiego życia, ścisłymi społecznymi i technicznymi osiągnięciami w zakresie bezpieczeństwa”. To zaś prowadzi – jak twierdzi Sloterdijk – do konkluzji: „Modlitwa jest dobra, ubezpieczenie lepsze”<sup>2</sup>.

Bez wątpienia jednym z tych pierwszych warsztatów była Holenderska Kompania Indii Wschodnich, założona w roku 1602, a zatem bardzo wcześnie, jak na nasze wyobrażenia o nowoczesności. Bazowała na systemie długu publicznego, bezpiecznej waluty i doskonałych źródłach informacji. Kształtowała wzorce kolonialnej eksploatacji, kalkulacji ryzyka i kumulacji kapitału<sup>3</sup>.

Nic zatem dziwnego, że Braudel – opisując ekspansję kapitalizmu, rozumianego jako dominacja wielkiego kapitału – opisał jego rozwój od wąskiego obszaru handlu zamorskiego i bankowości, poprzez przemysł i epokę wielkich fabryk w wieku dziewiętnastym, do współczesnej postaci. Do stanu, w którym wielki kapitał ulokowany w sieciach handlowych, telekomach, firmach IT, markach odzieżowych i spożywczych nauczył się penetrować wszystkie niemal rynki lokalne. W opisanych przez niego początkach nowożytności gospodarka europejska była w większości lokalna, oparta na bezpośrednich relacjach między producentem i konsumentem. Dzięki rewolucji przemysłowej, innowacjom w przemyśle chemicznym, upowszechnieniu się energii elektrycznej, technologii informatycznej, rynki lokalne straciły sens. Nawet naturalny dla nich rynek spożywczy jest dziś zdominowany przez globalnych dostawców, którym – wbrew naturalnym intuicjom dotyczącym rosnących wraz z dystansem kosztów transportu – opłaca się przewozić towary na ogromne odległości i skutecznie konkurować z ofertą lokalnych producentów żywności. Rezultatem tego procesu jest stan, w którym głównymi dostawcami żywności są sieci supermarketów, a transakcje bezgotówkowe dokonujemy przy pomocy kart dostarczanych przez trzy globalne korporacje. „The Economist” pisał w zeszłym roku, że trzy firmy: Master Card, American Express i Visa kontrolują dziś 95 proc. tego rynku<sup>4</sup>. Wielki kapitał jest zainteresowany eksploatacją każdego niedostępnego dziś jeszcze segmentu rynku, poprzez tworzenie

<sup>2</sup> P. Sloterdijk, *Kryształowy pałac. O filozoficzną teorię globalizacji*, przeł. B. Cymbrowski, Warszawa 2011, s. 107–109.

<sup>3</sup> F. Braudel, *Kultura materialna i gospodarka kapitalistyczna*, t. III *Czas świata*, przeł. J. i J. Strzelecki, Warszawa 1992, s. 187–190.

<sup>4</sup> *Special Report. Competition*, „The Economist”, 15.11.2018.

nowych instytucji, takich jak sieci kawiarni, wielkie telekomy, platformy filmowe.

Rozwój tej rosnącej kontroli wielkiego kapitału nad segmentami, w których rozwijały się dotąd rynki lokalne, oparty jest na dwóch czynnikach: nowych usługach i zdolności dostarczania ich tak szeroko, jak to tylko możliwe. Droga, którą kapitał ten przebył od ubezpieczeń handlu morskiego do powszechnych kart kredytowych i płatniczych oraz elektronicznych usług bankowych prowadziła przez dziesiątki małych odkryć, patentów, innowacji – intelektualnych rozwiązań problemów tworzonych przez coraz bardziej skomplikowane relacje ekonomiczne.

Sloterdijk opisuje historię nowoczesności jako drogę prowadzącą do ustanowienia światowego ładu i konkluduje: „Naczelnym faktem nowożytności jest nie to, że Ziemia krąży wokół Słońca, lecz to, że pieniąż krąży wokół Ziemi”<sup>5</sup>. Naiwne byłoby jednak redukcjonowanie mechanizmów wytwarzania nowoczesności wyłącznie do sfery ekonomicznej. Nowe możliwości finansowania przemysłu uzyskały ważne wsparcie w pojawieniu się nowych rozwiązań technicznych. W tym sensie istotny jest też warsztat, w którym James Watt pracował nad silnikiem parowym, a George Stephenson nad lokomotywą wykorzystującą ten rodzaj napędu. Takie warsztaty zapełniają całą zachodnią Europę i Stany Zjednoczone, przyczyniając się nie tylko do pomnożenia fortuny największych kapitalistów, ale także wytwarzając całkiem nowe relacje społeczne. Wytwarzając świat ogromnych fabryk, tworząc technologiczny fundament pod rozwój kolei i przyspieszenie tempa kontaktów i zmian między oddalonymi dotąd od siebie światami. Dodajmy do tego skutki wielkiego rozwoju medycyny, regulacji sanitarnych. Moment, w którym wprowadzano te ostatnie, wydaje się niepokojąco późny. Zarządzenia dotyczące sprzątnięcia trotuarów z nieczystości wprowadza się w połowie XVIII wieku w Londynie i Paryżu. Pozostałe miasta będą przejmować je później – niektóre znacznie później.

Ale zmiany, określanej zwykle mianem postępu, zatrzymać już nie można. Kluczowa staje się więc nie tylko innowacyjność poszczególnych warsztatów, ale ich zdolność do współpracy, do inwestowania ogromnych pieniędzy w produkcję na masową skalę. W upowszechnianiu dostępu do dóbr, które dotąd były produkowane rzemieślniczo, jako towary luksusowe. Upowszechnienie się zegarka, okularów, a potem każdego kolejnego

---

<sup>5</sup> P. Sloterdijk, *Krystalowy pałac...*, s. 61.

wynalazku było możliwe właśnie dzięki tej napędzającej energii kapitalizmu. To jego interesy umożliwiły powstanie sprawnie funkcjonujących linii lotniczych, globalnych sieci hotelowych, nadały dzisiejsze oblicze wielu metropoliom.

### Państwo nowoczesne

W sukurs technologii i kapitałowi przychodzi jeszcze jeden wielki bohater nowoczesności: państwo. Zachowując pozory ciągłości, przejmując po nowożytnych monarchiach symbole narodowe, granice, administracje i budynki rządowe, organizowały życie społeczne całkowicie na nowo. Energia państw – co więcej: ich zasoby – byłyby jednak niewystarczające, by podjąć się misji tworzenia niezbędnej infrastruktury cywilizacyjnej. Jak to się stało, że dziesiątki miast i miasteczek w dziewiętnastowiecznej Galicji zostało włączone w europejską sieć kolejową, wyprzedzając często ośrodki z zamożniejszych i lepiej rozwiniętych gospodarczo obszarów? Dlaczego mogły wyprzeć dostępne tylko dla zamożnych pocztowe dyliżanse, które i tak potrzebowały wielu dni na pokonanie trasy, którą dziś w kilka godzin przemieszczają się tysiące ludzi?

Kto był sprawcą tej zmiany? Ówczesne ograniczone w swych kompetencjach i ubogie w zasoby finansowe państwo samo sobie by z nią nie poradziło. Rozwiązanie zagadki jest proste, pieniądze mógł zgromadzić tylko ktoś, kto był na tyle potężny, by udzielać pożyczek państwom: baron Salomon Rotszyld. Tytułu nie odziedziczył po ojcu, który mieszkał we frankfurckim getcie, pożyczając pieniądze i zdobywając antyczne monety dla jednej z najciekawszych figur ówczesnej sceny politycznej Niemiec: księcia Nassau. Potęga Rotszyldów, zbudowana na zdolności finansowego wspierania toczonych przez ówczesne państwa wojen, ciągle szukała nowych przestrzeni zyskownych inwestycji. Właśnie takiemu wojennemu wsparciu zawdzięczał Salomon Rotszyld swój tytuł barona<sup>6</sup>. A także dostęp do najważniejszych postaci monarchii. Dzięki temu udało mu się uzyskać państwową koncesję na Kolej Północną, prowadzącą z Wiednia do Bochni, z odgałęzieniami na Opawę czy Bielsko. Ten ważny krok modernizacji mówi nam o tym, że dopiero współpraca kapitału i władzy prowadzi do istotnych punktów zwrotnych. Współpraca z kapitałem nie

<sup>6</sup> Zob. N. Ferguson, *Dom Rothschildów, tom I, Prorocy finansów 1798–1848*, przeł. K. Bażyńska-Chojnacka i P. Chojnacki, Kraków 2016.

oznacza jednak rezygnacji przez państwo z inwestycji publicznych, raczej poszukiwanie sposobów, by te inwestycje przyspieszyć. By do tego doszło, musiały zajść procesy modernizacji: przede wszystkim intelektualnej. Na dworze, w kancelarii, w bliskim otoczeniu realnego ośrodka władzy musiał pracować jakiś warsztat, w którym układano procedury administracyjne, nowe reguły interesowania się przez państwo sprawami oświaty, higieny, organizacji wielkich armii.

Takie warsztaty pracowały z pewnością w Paryżu, Wiedniu, Berlinie. Dziś skupiamy naszą uwagę na monarchach, którzy podejmowali decyzje. Ale bez wątplenia proces ich przygotowywania miał charakter kolegialny – bez względu na to, czy chodziło o tworzenie nowoczesnej armii, wokół której powstawało państwo pruskie, czy nowoczesnej skarbowości, czy też wytyczanie nowych reguł relacji państwa z Kościołem, co pochłaniało austriackiego cesarza Józefa. Niektóre wzorce okazywały się fatalne. Idea tworzenia państwa na potrzeby armii do dziś skutkuje pewnym nawykiem myślenia o szkole jako o maszynie produkującej ludzi możliwie identycznych – dopasowanych do potrzeb pola walki, na którym mają maszerować i ginąć w równym szyku. Jakby ignorując fakt istnienia złożonego społeczeństwa, w którym owa uniformizacja jest coraz bardziej absurdalna. Zresztą, dzisiejszy slogan szkoły „pracującej na potrzeby rynku pracy” niewiele się od swego pruskiego wzorca różni. Oczywiście potrzeby rynku pracy są inne. Ale słynna maksyma przypisywana Henry’emu Fordowi, narzekającemu na to, że ilekroć potrzebuje rąk do pracy – przychodzą one z dołączonym mózgiem, brzmi uderzająco blisko do idei karnego wojska.

Szczęśliwie dla Prus, w ich historii pojawił się ktoś taki jak Wilhelm von Humboldt i poddał ten zły model szkoły podporządkowanej potrzebom armii zasadniczej rewizji, tworząc podstawy jednego z najwspanialszych niemieckich uniwersytetów. Być może globalny kapitalizm też doczeka się jakiegoś Humboldta, choć na razie dziedzictwo Henry’ego Forda trzyma się lepiej niż zasady wyznawane przez Hohenzollernów.

Niemniej jednak trzeba docenić fakt, iż to państwo w epoce nowoczesnej stworzyło – kierując się intencjami, które nie zawsze uznamy za dobre – ogromną infrastrukturę szkół, szpitali, urządzeń kanalizacyjnych i wodociągowych, sieci gazowej i energetycznej, a także efektywny układ dróg i mostów. Ta „państwowa” nowoczesność rozwijała się niezwykle wolno, godząc się zrazu na zjawiska nędzy, wyzysku pracy najemnej, ograniczonych świadczeń zdrowotnych i oświatowych.

Poszukując warsztatów, w których tworzono nowoczesność, dość świadomie unikam tych najbardziej oczywistych, wymienianych w książkach głoszących idealistyczną wizję oświeceniowej Europy. I postępuję tak nie tylko dlatego, że nie wierzę w jasną, pozbawioną cienia wersję modernizacji, postępów racjonalizmu, ani nie dlatego, że pamiętam skalę ofiar – zwłaszcza poza kontynentem europejskim – dzięki którym modernizacja była w ogóle możliwa, ale także dlatego, że chciałbym osłabić poczucie sprawczej roli wielkich idei politycznych i społecznych. Nie po to, by psuć humor akademickim odbiorcom tego tekstu. Raczej po to, by namówić ich do uniknięcia pomyłki dotyczącej ich własnego udziału w kształtowaniu nowoczesnych reguł gry. Namawiam przede wszystkim do porzucenia złudzeń, że warsztaty, w których tworzono nowoczesność, przypominały filozoficzne sympozjum, rozstrzygające racje moralne i społeczne, które powinny kształtować nowy ład. Idee polityczne były spóźnione wobec zmian ekonomicznych i poprzedzających je pomysłów na nowe przedsięwzięcia gospodarcze. Wyrzut sumienia wobec faktu eksploatacji Afryki pojawia się tak późno, że trudno nie poczuć silnego dyskomfortu intelektualnego. Uzasadnienia ekonomicznie świetnie prosperującej dominacji białej rasy, do których uciekali się geografowie czy historycy, pokazują znakomicie, kto grał tu pierwsze skrzypce. Nie trzeba być marksistą, by obserwować prostą sekwencję zdarzeń.

Oczywiście nowoczesność nigdy nie była produktem jednego tylko warsztatu, ale wynikiem ścierania się różnych wizji przyszłości snutych przez przedsiębiorców, wynalazców, doradców na dworze, buntowników i filozofów. Trzeba wreszcie wspomnieć jeszcze jedną kategorię warsztatów – niesłusznie pomijanych lub traktowanych jako przeciwne modernizacji. Sięgnijmy po „Dawny ustrój i rewolucję” Tocqueville’a i przypomnijmy fragment, w którym opisuje on Rewolucję jako symboliczny akt zmiany i zwraca uwagę na religijne w istocie slogany napędzające działania rewolucjonistów. Ich aspiracje szły dalej niż zaborcze apetyty monarchów – znajdujące wyraz w gallikanizmie czy józefinizmie, jako próbach podporządkowania religijnej sfery działań Kościoła władzy świeckiej. Były próbą wytworzenia całkowicie nowych, racjonalistycznych form religii, które swój spektakularny wyraz znalazły w próbie wprowadzenia nowego, świeckiego kalendarza, kultu Stwórcy itp. „Jednym z pierwszych aktów Francuskiej Rewolucji było zaatakowanie Kościoła, i wśród namiętności z tej Re-

wolucji zrodzonych namiętność rewolucyjna pierwsza zapłonęła i ostatnia zgasła”<sup>7</sup> – pisze de Tocqueville. Następnie zaś precyzyjnie określa warsztat intelektualny, który wpłynął na to jej stanowisko: „Słusznie uważa się filozofię osiemnastego wieku za jedną z głównych przyczyn Rewolucji i jest na pewno prawdą, że filozofia ta jest głęboko areligijna”<sup>8</sup>. Część tych warsztatów, zdobywających szlify w walce z Kościołem katolickim, a nierzadko także z chrześcijaństwem jako takim, przetrwała bardzo długo, ciesząc się rolą moderatora procesów laicyzacji i propagatora naukowej wizji świata.

Inne warsztaty pracujące w cieniu państwa skupiały swą uwagę na usprawnianiu uzbrojenia i techniki wojskowej, wytwarzaniu propagandy, wzmacniającej “morale” narodu i armii, dezintegrującej przeciwnika. Nie wszystko, co w takich warsztatach powstawało, było zresztą społecznie szkodliwe – wiele wynalazków powstałych na potrzeby armii, jak technologie komunikacyjne, GPS czy żywność nadająca się do długiego przechowywania miało skutki wręcz dobroczynne. Podobnie ambiwalentne uczucia będą budzić warsztaty skupiające prawników czy specjalistów od administracji, poprawiające urząd państwa – zwiększające zasoby jego władców, osłabiające mechanizmy społecznej kontroli, a w wypadkach skrajnych projektujących państwa totalitarne.

Sloterdijk zwraca nas do zwrócenia uwagi na rolę kreowania ideologii jako usprawiedliwień polityki państwa<sup>9</sup>. To ważne, by nie sprowadzać jej do tego, jak przedstawiana jest najczęściej, jako źródła retorycznych pomysłów ułatwiających demokratyczną rywalizację zbudowanych wokół ideologicznych przekonań partii. Te ideologiczne usprawiedliwienia nie były zresztą często wymyślane w rządowych gabinetach czy na monarszych dworach. Powstawały w redakcjach czasopism, kawiarniach i klubach politycznych, niekiedy na uczelniach. Akademyki wzięli na siebie rolę wspierania tych ideologicznych atrybutów nowoczesnego państwa – nie tylko w ustrojach totalitarnych.

Historycy – inspirowani przez Herdera i Hegla – jak piszą Appleby, Hunt i Jacob „twierdzili, że nowy polityczny twór – naród – jest ucieleśnieniem ludzkich dążeń, a zatem powinien być badany w poszukiwaniu wskazówek co do sensu zdarzeń. Historię i naukę, przeobrażone w źródła

---

<sup>7</sup> A. de Tocqueville, *Dawny urząd i rewolucja*, przeł. H. Szumańska-Grossowa, Kraków 1994, s. 35.

<sup>8</sup> Tamże, s. 35.

<sup>9</sup> P. Sloterdijk, *Krzyształowy pałac...*, s. 81.



informacji o ludzkich przedsięwzięciach, ściśle powiązano z trzecią nowożytną siłą – z państwem narodowym”<sup>10</sup>.

Znaczenie tych warsztatów, w których tworzono historyczne usprawiedliwienia dla nacjonalizmu i przemocy, opiera się na fakcie, że nasze myślenie o przyszłości jest bardzo ściśle związane z naszą wizją przeszłości. Kiedy myślimy o ideologiach, często używamy terminów takich jak socjalizm, liberalizm czy konserwatyzm. Nie zauważamy natomiast ukrytych ideologii państwa, wyrażanych przez jego instytucje – armię, szkołę, czasami wspieranych przez Kościoły. Część nie oparła się pokusie tworzenia przesłanek i usprawiedliwiania najbardziej paskudnych działań nowoczesnych państw – w tym ludobójstwa, eksterminacji całych narodów i grup społecznych, czy wreszcie dwudziestowiecznego Holocaustu.

Warto podkreślić, że ten proces degeneracji państwa dotyczył nie tylko nazistowskich Niemiec czy sowieckiej Rosji, ale także Kambodży pod rządami Pol Pota czy belgijskich zbrodni w Kongo. A najtrudniejsze pytanie o zakamarki nowoczesnej ludzkiej duszy dotyczy tego, na ile wspierające te reżimy ideologie były inspiracją, a na ile usprawiedliwieniem tych państwowych zbrodni. Na ile dążenie do nieograniczonej żadnym prawem i żadnymi regułami przemocy jest cechą pierwotną wobec ideologii zepchniętej do roli racjonalizacji i tylko sięga po wizje, którymi można te mroczne pragnienia uzasadniać.

Niezwykłe ciekawą obserwacją Sloterdijka, którą w tym kontekście należy koniecznie przywołać, jest teza, że ideolodzy po roku 1968 zostali niemal wszędzie na Zachodzie zastąpieni przez konsultantów – ludzi, którzy służą rządowi jako eksperci do spraw poszczególnych polityk lub spin-doktorzy. Sloterdijk przekonuje przy tym, że może to skutkować bardziej pragmatycznymi zachowaniami rządzących<sup>11</sup>. Jednak ostatnie lata wskazują, że postawa pragmatyczna może być kształtowana przez prostą potrzebę zapewnienia sobie reelekcji, nawet kosztem krytycznych zasobów państwa. Przykładem nie muszą być państwa upadłe, ale stawiane za przykład potęgi Zachodu – jak choćby Wielka Brytania w epoce brexitu.

<sup>10</sup> J. Appleby, L. Hunt, M. Jacob, *Powiedzieć prawdę o historii*, przeł. S. Amsterdamski, Poznań 2000, s. 99.

<sup>11</sup> P. Sloterdijk, *Krzyształowy pałac...*, s. 83.

## Kontrola czy współudział?

Nowoczesność nie została wyprodukowana jak przedmiot z długą gwarancją użytkowania. Zawsze była produkowana tak doraźnie, jak się tylko dało. Nawet wielkie projekty często sprowadzały się do nadziei na krótkotrwałe i doraźne – a nie dalekosiężne – zyski ich twórców. Tworzenie nowych instrumentów finansowych opiera się na doraźnych kalkulacjach możliwych zysków, tworzenie nowych technologii wspierane jest przez korporacje, spodziewające się uzyskania przewagi konkurencyjnej. Projekty polityczne nigdy nie abstrahują od perspektywy najbliższych wyborów, konfliktów we władzach rządzącej partii, komentarzy wygłaszanych w mediach.

Ale mimo tych podobieństw – nowoczesność, która powstaje w tych współczesnych warsztatach, jest całkowicie odmienna nawet od tej z ostatnich dekad dwudziestego stulecia. Co więcej – jest kompletnie odmienna od opowiadanych wówczas przepowiedni i prognoz.

Kiedy ekonomiści podkreślają, że wyniki największych kompanii nie opierają się na ich głównych dziedzinach aktywności, ale na operacjach finansowych, jakie prowadzą – mówią, że kapitalizm się zmienił. Kiedy słyszymy o rosnącej roli elektronicznego pieniądza i uznajemy za całkiem realną eliminację monet i banknotów – to powinniśmy zrozumieć także ogromną doniosłość tej zmiany. Choćby fakt, że w jej wyniku wszystkie formy naszej aktywności ekonomicznej – a w praktyce niemal wszelkie formy aktywności w ogóle – będą podlegać kontroli ściślejszej niż w wielu państwach totalitarnych. Co więcej, że będziemy zależni od nowych, nieznanych jeszcze dziś panów sytuacji. Może jednym z obrazów nowych czasów będą Grecy, bezradnie spoglądający na wyłączone bankomaty. Pozbawieni pieniędzy, o których sądzili, że są tak samo ich i tak samo realne, jak te brzęczące i szeleszczące w portfelu. Pracę tych warsztatów przekonująco opisał James Rickards<sup>12</sup>, mówiąc, że wyłączenie elektronicznego pieniądza prowadzi nas przy okazji do znacznie poważniejszego zintegrowanego światowego systemu gospodarczego, z nowymi instrumentami uzgadniania polityki kursowej czy barier handlowych.

Inna grupa warsztatów, których działanie było nieprzewidywalne pod koniec XX wieku, wiąże się z ewolucją od komputerów osobistych, których

---

<sup>12</sup> J. Rickards, *Śmierć pieniądza. Nadchodzący upadek międzynarodowego systemu walutowego*, przeł. M. Lipa, Gliwice 2015.

nie tylko nie nosiliśmy ze sobą, ale które też czasami wyłączałyśmy, do nieustannie nam towarzyszących smartfonów. Ta rewolucja w sposobie życia dopiero się zaczyna, ale już dziś rezygnacja z wielu funkcji oferowanych nam przez to urządzenie wydaje się nam bardzo trudna. Dla następnych pokoleń może okazać się niemożliwa. Z drugiej strony, smartfon stanowi okazję zdobywania wiedzy o naszym życiu w skali, która nie śniła się nawet twórcom reżimów totalitarnych. Do zdobywania większej wiedzy niż ta, którą o sobie posiadamy my sami.

Ale ta rewolucja ma też inne skutki intelektualne. Jeszcze trzydzieści lat temu większość tekstów była pisana ręcznie lub na maszynach do pisania. To zupełnie inna od współczesnej technika, wymagająca precyzyjnego zaplanowania i przemyślenia tekstu, po to, by uniknąć jego kilkukrotnego przepisywania. Dziś wszystkie te fazy procesu twórczego są pomijane. Wystarczy otworzyć nowy plik i pisać, bezkarnie i bez wysiłku zmieniając tekst, nanosząc poprawki, dodając tabele i rysunki. Ale ma to także konsekwencje negatywne. Coraz częściej teksty – nie tylko te pisane przez uczniów czy studentów pierwszego roku – budzą w nas przekonanie, że nigdy nie były zaplanowane ani przemyślane. Więcej, że są jedynie popieszną kompilacją.

Ta konsekwencja wydaje się znacznie poważniejsza niż upadek zawodu maszynistki, szybko przepisującej odręczne teksty na zbyt skomplikowanej dla zwykłego śmiertelnika klawiaturze. Dziś wszyscy piszemy równie szybko, a przecież to dopiero początek przygody z technologią informatyczną, zaledwie pierwsze pokolenia jej użytkowników. Pierwsze dekady, w których nikt nie czeka na listonosza, a co najwyżej kompulsywnie sprawdza skrzynkę mailową czy których z komunikatorów. Pierwsze dekady, w których mamy permanentny kontakt z bliskimi, właściwie bez względu na to, gdzie się znajdują. To zwiększa poczucie bezpieczeństwa, podobnie jak nawigacja pomaga odnaleźć się w obcym mieście, a sprawdzenie informacji o pociągu, tramwaju czy locie zajmuje najwyżej kilka minut. Możemy się spodziewać, że te zmiany to zaledwie zapowiedź nowych reguł gry. Skala konsekwencji wynikających z rewolucji informatycznej dla systemu edukacyjnego, przemysłu rozrywkowego, wiedzy o ludzkich preferencjach, zachowaniach itp. jest już w pierwszych jej dekadach ogromna.

Czy współczesne państwo stać na zrozumienie skali i znaczenia tej zmiany, możliwości, jakie stwarza w funkcjonowaniu wielkich systemów rodem

z XIX i początków XX w. – edukacyjnego, ochrony zdrowia, ubezpieczeń, bezpieczeństwa publicznego? By to ocenić, warto przypomnieć sobie kolejne fale reform nowoczesnego państwa – wraz z powojenną budową *welfare state* i jego polityką spójności Unii Europejskiej, dążącą do upowszechnienia standardów jakości życia, znacznie ważniejszą niż wcześniejsza pomoc humanitarna czy polityka wspierania reform lansowana przez MFW czy Bank Światowy. Sloterdijk opisał to w swej rozległej wizji jako proces, w którym „wielka struktura komfortu będzie jeszcze przez jakiś czas integrować nowych obywateli, czyniąc pełnoprawnych członków z mieszkańców półperyferii, jednak odstręcza już dawnych członków, a wielu przestrzennie włączonym grozi społecznym wykluczeniem, to znaczy wyrzuceniem poza preferowane miejsca wewnątrz kontekstu komfortu”<sup>13</sup>.

Wraz z Unią pojawiła się nowa skala polityki, wiążąca państwa członkowskie procesami wspólnego myślenia o przyszłości. Sama w sobie należąca do historii najważniejszego może aspektu nowoczesności, jakim jest kultura eksperymentu. Po sześćdziesięciu latach eksperyment, który miał być odpowiedzią na problem pokoju w Europie, odpowiedzią na zagrożenie Zachodu przez Związek Sowiecki, okazał się przede wszystkim skuteczną strategią wobec procesów globalizacji.

Zarazem jednak Unia – z jej wspólną walutą, wizją rozszerzania własnych granic, wyrównywania szans rozwojowych poszczególnych państw i regionów – jest zapewne ostatnim tak wielkim projektem zbudowanym zgodnie z Oświeceniową Obietnicą postępu. Zbudowanym z intencją kontrolowania przyszłości, zerwania z fatum konfliktów zbrojnych w Europie, przewyciężenia nacjonalizmów.

To właściwy moment, żeby zadać pytanie o rolę, jaką wśród tych warsztatów mogą odegrać intelektualiści. Nie chciałbym powtarzać tez znanych i szeroko dyskutowanych książek Franka Furediego<sup>14</sup> czy Marka Lilli, wskazujących na źródła poważnego kryzysu roli intelektualistów we współczesnej debacie publicznej<sup>15</sup>. Wolę posłużyć się nieco innym obrazem, pozwalającym na prostsze sformułowanie problemu.

Węgierski pisarz emigracyjny Sandor Marai cytował w *Dziennikach* wypowiedź Anny Kethly, socjaldemokratycznej polityczki działającej wśród węgierskiego wychodźstwa. Powiedziała ona, że wielu intelektualistów za-

<sup>13</sup> P. Sloterdijk, *Kryształowy pałac...*, s. 241.

<sup>14</sup> F. Furedi, *Gdzie się podzieli wszyscy intelektualiści?*, przeł. K. Makaruk, Warszawa 2014.

<sup>15</sup> M. Lilla, *Lekkomyślny umysł. Intelektualiści w polityce*, przeł. J. Margański, Warszawa 2006.

chowuje się jak koguty, które myślą, że wschód słońca jest efektem ich piana<sup>16</sup>. Są przekonani, że nowoczesność stworzyła wielkie książki, wielkie traktaty filozoficzne. Nie są w stanie przyznać, że one ją przede wszystkim opisały, nazwały. Że ich autorzy nie siedzieli w jednym warsztacie z twórcami wielkich systemów finansowych, z właścicielami fabryk i kolei, ani nawet z wynalazcami odkrywającymi skuteczne szczepionki, nowe tworzywa sztuczne, ulepszającymi uzbrojenie. Oczywiście sztuka nazywania rzeczy, czynienia ich zrozumiałymi dla otoczenia ma ogromne znaczenie, ale nie jest wytwarzaniem nowoczesności w jej podstawowym społecznym wymiarze.

Jest rzeczą oczywistą – obserwujemy to na co dzień w instytucjach akademickich – że nauka odgrywa kluczową rolę w części warsztatów tworzących dziś kolejną fazę nowoczesnych porządków. Dotyczy to z pewnością nauk ścisłych, medycyny, czy psychologii. Ale nie dotyczy wielu dziedzin, takich jak zarządzanie czy ekonomia, których przedstawiciele zachowują się tak, jak gdyby od lat byli współtwórcami tych porządków lub – nie wiadomo, co gorsze – mieli zasadniczo lepszy pomysł na ich ukształtowanie. Tymczasem – niezależnie od poglądów i postaw konkretnych uczonych – pełnią często rolę ludzi racjonalizujących dokonywane bez ich wiedzy i udziału wybory zasadnicze. Godzą się na rolę uczestników pewnej maskarady, spinu tak dobrego, że w zasadzie przez lata niewidocznego gołym okiem. Dlatego trudno się dziwić, że część populistycznej rebelii przeciwko elitom jest motywowana tym właśnie udziałem w propagowaniu „nowego lepszego świata”.

Nie oznacza to, że eksperci nie odgrywają żadnej roli w sensownym kształtowaniu polityk publicznych, ale przede wszystkim to, że rolę tę przeceniają, nie dostrzegając wielu sytuacji, w których ich opinie są instrumentalizowane przez grupy interesów lub struktury państwa. Ten problem nie jest nowy. Bourdieu opisuje rolę uczonych tworzących spójne z interesem państwa (czasami bardzo doraźnym) wizje historii, pracujących nad regułami językowej poprawności, będące jednocześnie narzędziem klasowej selekcji i dominacji, tworzących całe imaginaria propagujące istotne cele kapitału lub państwa<sup>17</sup>. Sceptycyzm nie tylko nie jest modną wśród ekspertów postawą, jest też postawą szkodliwą dla ich karier. Dlatego

<sup>16</sup> S. Marai, *Dziennik 1957–1966*, przeł. T. Worowska, Warszawa 2018, s. 75–76.

<sup>17</sup> P. Bourdieu, *Duchy państwa*, [w:] *Rozum praktyczny. O teorii działania*, przeł. J. Styryczyk, Kraków 2009.

też – choć nie tylko dlatego – demokratyzujące się społeczeństwa tracą na pewnym etapie respekt dla hierarchii wytwarzanych przez kapitał kulturowy. Zaczynają podejrzewać, że służy on tylko sprawnemu i przebiegłemu schlebieniu dominującym interesom. Triumfy Oświeceniowej Obietnicy należą do przeszłości.

Kryzys 2008 roku podważył zaufanie nie tylko do kluczowych instytucji kapitalizmu: banków, instytucji kontrolnych, agencji ratingowych, firm konsultacyjnych, ale także do wiedzy osób tłumaczących w mediach, przed komisjami parlamentu czy w salach wykładowych doskonałość obecnej fazy rozwoju wolnego rynku. Pech chciał, że był to też pierwszy kryzys komentowany na żywo w mediach społecznościowych, w których demokratyczna zasada „jeden człowiek – jeden głos” została przeniesiona na poziom debaty publicznej, z pominięciem wszystkich barier, dotychczas skutecznie stawianych przez elity dysponujące kapitałem kulturowym. Tej fali demokracji nie przewidywano i nie propagowano. Fakt, że wykorzystali ją populiści, sprawił, że nawet nie używa się wobec niej takiego terminu, zbyt łatwo kwalifikując ten bunt jako zagrożenie dla demokracji. Po referendum w sprawie brexitu, po zwycięstwie Trumpa, zmianie systemu partyjnego we Włoszech – niektórzy popadli w fatalistyczne przerażenie naciągającym końcem świata liberalnej demokracji.

Fakt, że ów populistyczny zwrot wiązał się z karierą antyestablishmentowej retoryki sprawił też, że ludzie ze świata akademickiego poczuli się częścią oskarżanej o całe zło elity. Nawet jeżeli ich wpływ na polityczną rzeczywistość ograniczał się do udziału w wyborach, a ich status materialny sytuował ich poniżej średniej danego kraju, posiadany kapitał kulturowy czynił ich współwinnymi całego zła. Poczucie to wzmacniała antyimi-grancka retoryka populistów, ich pogarda dla reguł liberalnej demokracji, ich krytyka projektu Unii Europejskiej.

Z drugiej strony te same środowiska akademickie zostały poddane – w zasadzie we wszystkich krajach – presji na zaakceptowanie reguł korporacyjnego zarządzania nastawionych na sformalizowane narzędzia oceny „efektywności”, sprzeczne z naturą wielu nauk. Liczba cytowań, absolwentów, publikacji – to, co niepoliczalne, nie istnieje. Narzędzia te nie spełniły jednak swojej roli: nie poprawiły ani poziomu dydaktyki, ani badań i tekstów naukowych, ale uspokoiły decydentów, czyniąc system akademicki i jego mechanizmy bardziej zrozumiałymi i kompatybilnymi z otoczeniem.

Presję wywierała ta sama logika współczesnego kapitalizmu, przeciwko której buntowały się sympatyzujące z partiami populistycznymi tłumy. Co więcej – państwo nie podjęło się obrony świata akademickiego, ale uznało poddanie go powszechnie obowiązującym regułom neoliberalnej gospodarki za świetny pomysł. Potrzask, w jakim znalazł się świat akademicki – a przynajmniej jego humanistyczna i uprawiająca nauki społeczne część – w ostatniej dekadzie jest właściwie nie do pozazdroszczenia. Krytycy dominującego trendu są w mniejszości i nie dysponują konkurencyjną wobec modelu neoliberalnego wizją Akademii. Ich rola publiczna sprowadza się do funkcji ostrzeżenia przed katastrofą czy poważnym kryzysem.

Jak pisze Lindsay Waters w *Zmierzchu wiedzy*, pierwszymi ofiarami tego procesu stały się książki akademickie, coraz mniej czytane i tracące jakikolwiek wpływ intelektualny na otoczenie<sup>18</sup>. Funkcjonujące w zamkniętym obiegu akademickich cytowań i powołań. Jednocześnie zaś rynek publikacji akademickich stał się po prostu nowym segmentem opłacalnych inwestycji, korzystających jednak – inaczej niż na normalnym rynku księgarskim – nie z poczytności książek, ale z przymusu publikowania, z rozliczania instytucji akademickich z wypełniania tego podstawowego skądinąd obowiązku.

Państwo wyznające zasadę *value for money* z radością przyjęło to urynkowanie i uwskaźnikowanie nauki, czyniąc je podstawą swojej polityki, podobnie jak postąpiło z procedurami medycznymi czy przekonaniem, że zadaniem szkolnictwa podstawowego i średniego jest kształcenie na potrzeby rynku pracy. To była wizja natury ludzkiej kompatybilna z językiem zarządzania i marketingu, w którym człowiek może zostać przetłumaczony na CLV – Customer Lifetime Value, na dożywotnią wartość konsumenta dla firmy. A z drugiej strony, z punktu widzenia ekonomii procesów produkcji czy usług można go zredukować do roli kapitału ludzkiego, przeliczanego na godziny pracy – wszystko jedno gdzie, w supermarkecie, na uczelni, w szpitalu. Długa historia nowoczesności pokazuje długie trwanie procesu opisanego przez Braudela, w którym logika wielkiego kapitału, zrodzona z handlu zamorskiego i początków bankowości, podporządkowuje sobie z łatwością kolejne dziedziny ludzkiego życia i aktywności.

Wiele pól w tej grze zostało poddanych bez walki. Albo broniono ich w sposób uzasadniający przekonanie szerszej publiczności, że w istocie

<sup>18</sup> L. Waters, *Zmierzch wiedzy. Przemiany uniwersytetu a rynek publikacji naukowych*, przeł. T. Bilczewski, Kraków 2009, s. 14.

akademyści są jedną z umierających profesji. Albo, że są ludźmi, którzy domagają się uchylenia właśnie dla nich powszechnie obowiązujących reguł wolnego rynku. Jego idee podobały się konsumentom, długo nie wierzyliśmy, że mają także swoją drugą stronę.

Jeżeli dziś jest jakieś wyjście z tej złej, izolowanej pozycji, to nie prowadzi ono przez drzwi, nad którymi widnieje napis Efektywność Finansowa, ale przez te, które noszą niemodną i wytartą nazwę „społecznej odpowiedzialności”, wyrażanej nie przez podawanie jednej, uniwersalnej odpowiedzi na wszystkie pytania, nie produkującej kolejnych podpowiedzi dla rządu, ale przede wszystkim opartej na zrozumieniu reguł gospodarki i polityki, które zaprowadziły nas do punktu, w którym spore grupy społeczne jedyne ratunku upatrują w obietnicach populistów. Do punktu, w którym odpowiedź na te obietnice nie może być próba utrzymania status quo za wszelką cenę.

Szansa środowisk akademickich polega dziś raczej na zdolności nazywania tego kryzysu, szans i zagrożeń, jakie on stwarza, w sposób, który da nadzieję nie tylko im samym, ale także rozczarowanym grupom społecznym. Nie poprzez schlebienie populistycznym politykom czy przechwytywanie ich haseł, ale próbę sformułowania innego języka sprzeciwu.

Problemem jest fakt, że instytucje demokracji przedstawicielskiej, ukształtowane w drugiej połowie XIX wieku, uszyte na miarę ówczesnego społeczeństwa, dostosowane do jego ograniczonych możliwości komunikacyjnych, okazują się dysfunkcjonalne. Dynamika mediów społecznościowych, bezpośredniość kontaktu, nieustanna obecność polityków i ich przesłania w mediach tradycyjnych – stanowią tylko część wyzwań dla architektury ustrojowej współczesnych państw. Żyjemy w demokracji hybrydowej, która stare formy próbuje jakoś dostosować do nowych kształtów życia społecznego i ekonomicznego.

Warsztaty produkujące kolejną wersję nowoczesności w zasadzie abstrahują od tego mechanizmu, żyją obok niego, być może za chwilę zaczną przemyślać nad istotnymi sposobami ubezwłasnowolnienia demokracji reprezentacyjnej, poszukującej zbyt niebezpiecznych dla ich funkcjonowania pól populistycznych zwycięstw.

Nie jest nawet jasne, czy w imię walki z populizmem część dzisiejszych elit intelektualnych nie zdecyduje się im w tym pomóc. Choćby pisząc sążniste uzasadnienia.



Wzięcie podmiotowego udziału w tej grze jest możliwe za cenę politycznego sceptycyzmu, ograniczonej wiary we własne możliwości i pewnego poziomu społecznej empatii. Przede wszystkim zaś zrozumienia tego, że uniwersytety w zdecydowanej większości nie są ani warsztatami, w których powstają kształty nowego ładu społecznego i ekonomicznego, ani nawet miejscami, w których te procesy są skutecznie kontrolowane i opisywane. Żaden z tworzących następną wersję nowoczesnych porządków warsztatów nie dysponuje jakąś spójną ideą „całości”, a często nawet społecznych czy biologicznych konsekwencji nowych pomysłów. Często zresztą posiadanie takiej wizji mogłoby blokować rozwój innowacji, która jest instytucjonalnym kodem tych warsztatów.

Gra toczy się zatem między tymi warsztatami, między instytucjami państwa, a społeczeństwem wyborców, konsumentów i pracowników. Toczy się na polu, z którego akademicy zostali wypchnięci zarówno przez swój scholastyczny epistemocentryzm opisany przez Bourdieu jako „tworzący całkowicie nierealistyczną (i idealistyczną) antropologię” i przenoszący do praktyki „niemożliwy do pomyślenia stosunek społeczny będący po prostu scholastycznym stosunkiem do świata”<sup>19</sup>, jak też przez źle pojętą lojalność wobec państwa i elit politycznych, a także poddawanie się procesom parametryzacji wszystkich form działalności akademickiej. Przestali – jako grupa zawodowa – być traktowani jako ludzie myślący poważnie, widzący świat nie przez pryzmat swoich zamkniętych społeczności, rozumiejących ekskluzywność własnego habitusu.

Nowoczesność wchodzi dziś w nową fazę, a zrozumienie sposobu, w jaki rozwijała się dotąd, pozwala nam jedynie na zachowanie rezerwy wobec uproszczonych modeli prognostycznych, redukujących czynniki zmian do sfery ekonomii, kultury czy technologii. Warsztaty działające u progu nowoczesności są nadal czynne, wynalazki każdego z nich modyfikują świat w sposób daleki od pierwotnych zamierzeń i intencji. Szansą na zrozumienie świata, w który wkraczamy, jest próba zdobycia się na postawę choć trochę wyemancypowaną od presji sił kształtujących nowy etap, na spojrzenie z dystansu – nie uwikłane ani w afirmację, ani żarliwą kontestację nowych porządków.

---

<sup>19</sup> P. Bourdieu, *Medytacje pascaliańskie*, przeł. K. Wakar, Warszawa 2006, s. 78.

## **Rafał Matyja**

### **Modern orders**

The text attempts to reconstruct the major factors that shaped the modern economic, political and intellectual orders. Based on the assumption that the philosophical and ideological sources of the modern state were derived from social, economic and technological changes, the article explains how these changes were prepared in the modern age and how they influence development in the following 200 years. It also presents the ideas of dependencies between the rise of the modern state and capitalist economy. The conclusion presents the challenges connected with new means of communication, new trends in economy and new social expectations, as well as the role that may be played by academic circles in responding to these.

**Keywords:** modernity, capitalism, state, globalisation

**Słowa kluczowe:** nowoczesność, kapitalizm, państwo, globalizacja